

— Jeśli ci tak wygodnie... — powiedziała obojętnie i spytała: — czy Paweł nakrył do stołu?

— Zda się, że tak, — i przypatrując się żonie, — co tobie Wandziu, takaś blada, czy czujesz się gorzej?

— Nie, — otuliła się szalem, — ta pogoda działa mi na nerwy.

— Istotnie, dzień nieszczególny, ale ja lubię nawet szarugę jesienną, — a spostrzegłszy wazoniki na podłodze, — a tu co się stało?

— O czym mówisz? — powiedziała spokojnie.

— Kto przewrócił kwiaty?

— Ninka... tak się przeraziłam... wyobraź sobie, że na nią padły wazoniki, bałam się o jej główkę.

— Ale jakim sposobem, — podnosił wazoniki i stawiał w koszu.

— Bawiła się piłką i przechyliła kosz na siebie... możesz myśleć, jak się przestraszyłam, na szczęście nic się nie stało.

— Że też ty zawsze pełna obaw niepotrzebnych, — mówił z wymówką, — wielka rzecz, że podrapia ją kwiaty czy wazoniki, a ty z twą chorobliwą troskliwością i obawą zrobisz z niej lalkę porcelanową.

Spojrzał na żonę, a widząc usta gniewnie zacięte, powiedział łagodniej:

— No, nie gniewaj się, ale te twoje wieczne obawy zatruwają ci życie.

— Nie troszcz się o mnie, — rzekła sucho.

— Muszę, bo twój humor oddziaływa na cały dom. Dawniej byłeś inna, zajmował cię dom, gospodarstwo, ogród...

— I teraz tak samo wszystko mnie interesuje, ale nie mówię, ażeby nie psuć twego humoru.

— Czy myślisz, że twoje posępne milczenie sprawia mi radość? — uśmiechnął się ironicznie.

Wszedł lokaj meldując z progu:

— Obiad podany.

— Chodźmy, Wandziu, jestem głodny, — i chciał ją objąć w pól.

Wysunęła mu się z ręki, mówiąc niechętnie:

— Nie lubię tego... najpierw wymówki, a potem czułości, — szła pierwsza, nie oglądając się na chmurnego męża.

W pokoju jadalnym zastali już ciotkę pani Wandy, staruszkę z twarzą pooraną zmarszczkami, z bojaźliwym uśmiechem, spoglądającą bacznie na pana domu, którego żartów zawsze się obawiała.

Gdy zasiedli do stołu, weszła bona z Ninką, a tuż za nimi zjawił się stryj gospodarza, pan Emil Jerzycki, szczupły, wysoki, szpakowaty, starannie ubrany, z monokłem w lewym oku i ucałowawszy rękę gospodyni, usiadł.

Lokaj w milczeniu roznosił talerze z zupą, a gdy postawił przed gospodarzem, ten zwrócił się do żony:

— Czy kazałaś zrobić czerninę? — a na jej skinięcie głową, — wiesz, że nie lubię tej zupy, a jeśli kiedy jem, to musi być doskonała.

Ostrożnie nabrał łyżkę, smakował w ustach i odsuwając talerz, rzekł niezadowolony:

— Zupełnie licha, bez smaku, po prostu krew rozpuszczona w rosole.

— Przepraszam cię, — usprawiedliwiała się chłodno, — ale sądziłam, że zrobi doskonałą zupę.

— Mogłaś się zapytać, jak ją robi, albo wrzucić sprawdzić... ona jest niemożliwa.

— Nie bądź, Michasiu, wybredny, — uśmiechnął się stryj, — za rok, za dwa będziesz wszystko jadł, co ci podadzą.

— Przepowiednia fałszywa, jak długo mam kucharza.

Skończyli zupę w milczeniu, gospodarz siedział chmurny i gryzł chleb suchy, patrząc z pretensją na obojętną twarz żony.

Lokaj roznosił półmisek ze sztukamięsą garniowaną, a gdy podszedł do pana Michała, ten rzekł gniewnie:

— Jakie mięso mi podajesz? Nie wiesz, że nie jadam gładkiej sztukamięsy!

— Jasnie panie, mówiłem kucharzowi i jest tu kawałek przerastały, — oczyma wskazał.

— To same flaki... idź... nie będę jadł.

Na twarz Wandy wystąpiły lekkie rumieńce, spojrzała niechętnie na męża i powiedziała gniewnie:

— Kucharz świeżo przyjęty... nie zna twoich gustów.

— On nie zna, ale ktoś może o nich pamiętać przy dyspozycji, — rzekł z przekąsem.

— Zapewne, — uśmiechnęła się z goryczą, — i przepraszam za zapomnienie, — dodała ironicznie.

Nie odczuł ironii i mówił chmurny:

— Dziękuję za przeproszenie, gdy nie mam co do ust włożyć.

— Daj Boże, ażebyś zawsze miał tyle, — westchnęła.

— Może kiedyś nie będę miał, — odburknął zły, — ale dziś mam i chcę zjeść, — i zwracając się do lokaja rozkazał:

— Przynieś mi wędlin.



— Ninko, masz brudne rączki, niech Berska umyje dziecko.

Ten zły humor gospodarza onieśmielił wszystkich, nastąpiła przykra cisza, wtem Ninka powiedziała głośno do bony, odsuwając talerz z mięsem:

— Tatuś nie je i ja nie chcę.

— Ninko, jedź! — zawołała matka podrażnionym głosem i po francusku do męża: — dobry przykład skutkuje.

— Nie będę się truł dla twych fantazyi wychowawczych, — powiedział w tym samym języku, i do dziecka po polsku: — jedź, Niniusiu, widzisz, mama na mnie się gniewa.

— Nie mamusia, tylko tatuś, — odparła poważnie Ninka.

— A trzeba ci było tego, — zaśmiał się stryj, — niewiasta zawsze za niewiastą, gdybyś miał syna, stanąłby w twojej obronie.

— Myli się pan, — powiedziała zimno Wanda, — to sprawiedliwość dziecka.

— Ładna sprawiedliwość, gdy nie mam co jeść, — rzekł mąż uszczypliwie, — ale dla pewnych żon mąż nigdy nie ma racji.

Jadł przyniesione wędliny i popijał winem. Lokaj wniósł półmisek z kalafiorami i szparagami. Żona i ciotka wzięły tylko kalafiora, co mąż dostrzegłszy, powiedział uprzejmie:

— Wandziu, dlaczego nie wzięłaś szparagów?... Pawle, podaj pani.

— Dziękuję, — odsunęła półmisek.

— Ależ weź, szparagi są delikatniejsze i lepsze w smaku.

— Nie wezmę, dla mnie jest obojętne, co jem.

Mąż nabierał na talerz szparagi i rzekł z uśmiechem:

— Wątpię, czy upośledzenie pod względem zmysłu smaku należy do zalet.

— Sądzę, że prerafinowania smaku nie zaliczasz do cnót, — powiedziała spokojnie.

Temi słowami uczuł się dotknięty, jak zresztą każdy człowiek, gdy ktoś poruszy jego słabą stronę, a że był już podrażniony, odciął się ostro:

— Człowiek wyróżnia się od reszty stworzeń tem, że swymi zmysłami kieruje rozumnie, ale kobiety, jak dzieci, zjadają ze smakiem glinę, słomę, węgiel... a potem na udrękę innych chorują.

Wszczęła się rozmowa najpierw o smaku, ale wkrótce przeszła na dzieci, i każdy miał coś do opowiadania, czego to dzieci nie zjadają. Pani Wanda ożywiła się wspomnieniami i opowiadała, że będąc małym dzieckiem, sama przygotowywała ucztę dla rówieśników i bywała na ich ucztach, i że te potrawy bardzo jej smakowały.

— Dałaś najlepszy dowód, — uśmiechnął się złośliwie, — że z brakiem rozumu, idzie brak smaku.

— O, wcale nie, — zawołała gorąco i odmawiając nabrania pieczyśtego, mówiła dalej: — dzieci posiadają wprost żywiołową wyobraźnię, której nie dotknął strychulec świata, i dzięki tej wyobraźni takie ucztę im smakują.

— Wyobraźnia, wyobraźnia, — drwił mąż, — nią się ani nie ubierzesz, ani nie najesz, ona jest tylko przeszkodą do normalnego życia i szczęścia wspólnego, — kończył z goryczą, wspomniawszy bowiem na utyskiwania żony, że inaczej wyobrażała sobie życie.

— Już to przyzna pani, — odezwał się stryj, — że niewiasty, naturalnie nie mówię tego o pani, nadużywają słowa: „wyobraźnia“ i stosują w życiu najfatalniej.

— Jak to pan rozumie? — spytała z obojętną grzecznością.

— Zachciewa się im ideałów, gwiazdki z nieba, słońca w nocy, — zaśmiał się drwiąco, — zamiast przy pomocy wyobraźni upiększać sobie codzienne, realne stosunki.

— Ołóż stryj trafiłeś, — zawołał uradowany pan Michał, — tak, Wandziu, cała mądrość życia polega na takim zastosowaniu wyobraźni, zamiast bujać po obłokach, albo co gorsza, wyobrażać sobie różne nieszczęścia w dalekiej przyszłości i truć sobie życie płonnymi obawami.

— Rozmowa weszła na niewłaściwe tory, — mówiła uprzejmie, lecz patrzyła surowo, — każdy posiada właściwą sobie wyobraźnię. Jeden marzy o używaniu życia, drugi o poezji i nauce.

— A trzeci o puszcze Pandory, sypiącej nieszczęścia, — dorzucił mąż z miną niewinną.

Lokaj roznosił krem czekoladowy, co spostrzegłszy gospodarz, rzekł z przesadną grzecznością, nie cierpiał bowiem kremu:

— Dziękuję ci Wandzin za pamięć o mnie przy tylu twoich troskach i kłopotach... ten krem jest dowodem.

Pani Wanda lekko przybladła, a na jej subtelnej twarzy było widać żal i przykrość doznaną, odpowiedziała siłąc się na spokój:

— Rozporządziłam co innego, ale kuchcik zepsuł i naprędce zgodziłam się na krem.

Pan Michał ostentacyjnie wziął tylko łyżeczkę kremu, kazał podać araku, dołał, ale po skosztowaniu odłożył z niesmakiem łyżeczkę.

Podano ser, owoce, lecz pani Wanda nie czekała na czarną kawę, wstała od stołu, mówiąc:

— Przepraszam, że wstaję, ale czuję się zmęczoną.

(Ciąg dalszy nastąpi).